

DAGON



Piszę te słowa pod bardzo silnym naciskiem psychicznym, jako że przed północą już nie będę istniał. Bez grosza przy duszy i z kończącym się zapasem narkotyków, które czyniły moje życie lżejszym, nie jestem w stanie znieść dłużej tych cierpień; rzucę się z okna mego staroświeckiego domu na wąską, ciągnącą się w dół ulicę. Nie sądzicie, iż poprzez swe uzależnienie od morfiny stałem się słabeuszem czy degeneratem. Być może czytając te pospieszenie skreślone słowa, domyślicie się, choć nie będziecie mieli pełnego obrazu, dlaczego pragnę zapomnienia bądź śmierci.

Zdarzyło się to w jednym z najbardziej otwartych i najmniej uczęszczanych obszarów Pacyfiku, kiedy okręt, na którym byłem nadzorcą ładunku, padł ofiarą niemieckiego rajdera. Był to zaledwie początek wielkiej wojny, a siły morskie Hunów dopiero w późniejszym okresie osiągnęły poziom bezlitosnej, brutalnej degradacji, tak że okręt handlowy był dla nich słusznym celem, nas zaś, czyli jego załogę, traktowano zgodnie z prawami należnymi jeńcom wojennym. Prawdę powiedziawszy, mieliśmy taką swobodę, iż w pięć dni po schwytaniu zdołałem uciec samotnie łodzią, z zapasem wody i prowiantu na dość długi okres czasu. Kiedy znalazłem się wreszcie wolny na szerokim oceanie, stwierdziłem iż nie wiem gdzie się właściwie znajduję. Jako że nigdy nie byłem wprawnym nawigatorem, mogłem jedynie dzięki położeniu słońca i gwiazd ustalić, że znalazłem się gdzieś na południe od równika. Nie znałem długości geograficznej, a w zasięgu wzroku nie było żadnej wyspy czy linii brzegowej.

Pogoda dopisywała i przez niezliczone dni dryfowałem bez celu w prażących promieniach słońca, czekając bądź na przepływający okręt, bądź na zbliżenie się do jakichkolwiek, byle tylko zamieszkałych brzegów.

Na mej drodze nie pojawił się jednak ani statek, ani brzeg i, samotnemu, pod bezkresnym błękitnym niebem, zaczęła mi doskwierać dojmująca rozpacz. Zmiana nastąpiła podczas snu. Szczegółów nigdy się nie dowiem - gdyż spałem twardo, chociaż dręczyły mnie koszmary.

Kiedy w końcu się obudziłem, byłem na wpół zagrzebany w grząskim, czarnym, piekielnym błocku, którego połacie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się wokół mnie -w oddali zaś dostrzegłem moją łódź, którą fale również wyrzuciły na brzeg.

Choć można by się spodziewać, iż pierwszym moim odczuciem powinno być zdumienie spowodowane tak dziwną i nieoczekiwaną zmianą krajobrazu; w rzeczywistości jednak, byłem bardziej przerażony, aniżeli zdumiony - albowiem w powietrzu i martwej ziemi było coś złowieszczonego, co - niczym lodowaty dreszcz - przeszywało mnie do szpiku kości. Okolicę zaścieniały gnijące truchła rozkładających się ryb i innych, mniej rozpoznawalnych istot, wystających z ohydneho błocka pokrywającego bezbrzeżną równinę. Być może nie powinienem się łudzić, iż uda mi się słowami wyrazić niewiarygodną wręcz zgrozę czającą się pośród absolutnej ciszy i rozległej pustki, jaka mnie otaczała.

Słońce prażyło niemiłosiernie, a bezlitosne niebo nad moją głową wydawało się niemal czarne, jakby odbijały się w nim atramentowe moczary pod moimi stopami. Kiedy wczołgałem się do wyrzuconej na brzeg łodzi, uświadomiłem sobie, że tylko jedna teoria mogła wyjaśnić moje obecne położenie. Wskutek jakiejś niewiarygodnej aktywności wulkanu część oceanicznego dna musiała zostać wypchnięta na powierzchnię, odsłaniając obszary,

które przez niezliczone miliony lat spoczywały ukryte w niezgłębionej morskiej otchłani. Połąć nowego ładu podę mną była tak rozległa, że pomimo iż wytężałem słuch, nie zdołałem wychwycić najsłabszego nawet odgłosu fal bijących o brzeg. Nie zauważyłem też morskiego ptactwa, żerującego wśród szczątków martwych istot.

Siedziałem przez kilka godzin pogrąony w rozmyślaniach w mojej łodzi, która, przewrócona na bok, oferowała nieco cienia, w miarę jak słońce przesuwało się po nieboskłonie. Pod wieczór gleba utraciła nieco swej lepkości i zaczęła obsychać; stwierdziłem, iż niebawem można będzie po niej chodzić.

Przespałem jeszcze całą noc, a następnego dnia przygotowałem sobie plecak zawierający zapas wody i prowiantu, aby wybrać się na poszukiwanie zaginionego brzegu morza i możliwości ratunku. Gleba była już dostatecznie sucha, abym z łatwością mógł po niej stapać. Odór ryb przyprawiał o mdłości, ale moje myśli zaprzętały posępniejsze i bardziej niepokojące rzeczy, toteż szybko wyruszyłem ku nieznanemu celowi. Podążałem dziarsko przez cały dzień zmierzając ku zachodowi, wiedziony przez odległy pagórek, stanowiący najwyższy punkt na tym odrażającym pustkowiu. Noc spędziłem pod gołym niebem, a następnego dnia ruszyłem w dalszą drogę ku pagórkowi, choć miałem wrażenie, że mimo tak długiego marszu, nie zbliżyłem się do niego zanadto.

Pod koniec czwartego dnia dotarłem do podnóża pagórka, który okazał się wyższy niż przypuszczałem, gdy widziałem go z oddali. Poniżej rozciągała się głęboka kotlina. Zbyt zmęczony, aby wspiąć się na szczyt, usnąłem w jego cieniu.

Nie wiem dlaczego tej nocy miałem tak szalone i dzikie sny, kiedy jednak bledy sierp księżyca wzeszedł nad równiną na wschodzie, obudziłem się zły zimnym potem i przepełniony pełnym determinacji postanowieniem, iż nie zmrzę już więcej oka. Nie zniósłbym po raz wtóry wizji, których dane mi było doświadczyć, i w blasku księżyca zrozmiałem, jak nieroztropną rzeczą było wędrowanie za dnia. Marsz w prażących promieniach słońca kształtował mnie zdecydowanie zbyt wiele energii. Teraz poczułem w sobie dość siły, by podjąć wspinaczkę, którą przerwałem o zachodzie słońca. Wziąwszy plecak ruszyłem ku skrajowi wzgórza. Stwierdziłem, że nieprzerwana monotonia płaskiej równiny była dla mnie źródłem nieokreślonej grozy; sądzę jednak, iż przerażenie me wzrosło znacznie, kiedy znalazłem się na szczycie wzniesienia i spojrzałem w dół na drugą stronę, w głąb niezmierzonej czeluści wąwozu, której nie zdołał jeszcze rozświetlić słaby blask wiszącego nisko na niebie księżyca. Miałem wrażenie jakbym znajdował się na krawędzi świata i zaglądał ponad nią w bezdenny chaos wiecznej nocy. To niezwykle, ale z ogarniającym me serce uczuciem przerażenia mieszały się osobliwe reminiscencje Raju Utraconego i upiornej wspinaczki Szatana poprzez nieodgadnione Krainy Mroku.

Kiedy księżyc wspiął się wyżej, zacząłem dostrzegać, iż zbocza doliny nie były wcale tak strome, jak to sobie wyobrażałem. Skalne występy i półki zapewniały przy schodzeniu wygodne oparcia dla stóp i rąk, a kilkaset stóp niżej zbocze traciło ostrą spadzistość i stawało się łagodniejsze.

Pchany impulsem, którego nie potrafię sprecyzować, zgramoliłem się po skalnej ścianie w dół i stanąłem na rozległym spłachciu kamienistego zbocza, wpatrując się w stygijskie ciemności, których nie przenikał, najdrobniejszy nawet promień światła.

Natychmiast uwagę mą przykuł ogromny, osobliwy obiekt widniejący na przeciwległym zboczu, które pięto się stromo mniej więcej o sto jardów przede mną; obiekt ów połyskiwał białawo w przybierającym na sile blasku niedawno wzeszłego księżyca.

Niebawem upewniłem się, że był to ogromny kamienny blok, aczkolwiek dręczyło mnie dziwne i niewytłumaczalne wrażenie, iż ani jego kształt, ani miejsce nie były dziełem Natury. Po bliższym zbadaniu ogarnęły mnie odczucia, których nie jestem w stanie opisać; pomimo jego ogromu i umiejscowienia w otchłani zięjącej na dnie morza powstałej w czasach kiedy świat był młody, dziwny ów obiekt był doskonale wyprofilowanym Monolitem, którego masywny kształt zdawał się być dziełem i najprawdopodobniej również obiektem kultu żyjących i myślących istot.

Oszołomiony, przerażony, ale i nie pozbawiony typowego dla naukowca podniecenia, przyjrzałem się uważniej memu znalezisku. Księżyc, obecnie stojący niemal w zenicie, rzucał silny i dziwny blask na otaczające wąwóz skalne ściany, zaś w jego srebrnym świetle dostrzegłem, iż dno czeluści zalane było wodą, a napływające z dwóch stron fale nieomal obmywa me stopy, kiedy tak stałem na łagodnej skalnej pochyłości. Po drugiej stronie wąwozu mroczne fale rozbijały się o podstawę cyklopowego Monolitu, na którego powierzchni mogłem teraz dostrzec zarówno inskrypcje, jak i toporne, prymitywne płaskorzeźby.

Pismo należało do rodzaju hieroglificznego, którego kompletnie nie znałem, ale w przeciwieństwie do innych jakie widywałem w książkach, składało się w ogromnym stopniu z konwencjonalnych symboli przedstawiających zwierzęta morskie, takie jak: ryby, węgorze, ośmiornice, skorupiaki, mięczaki, wieloryby itp. Kilka symboli bez wątplenia ukazywać miało istoty morskie nieznanne nowoczesnemu światu, a których szczątki zauważyłem na wypiętrzonych z dna oceanu równinie.

Najbardziej zafascynowały mnie płaskorzeźby zdobiące ogromny Monolit. Były doskonale uwidocznione w blasku księżyca, a ich tematyka mogłaby wzbudzić zazdrość samego Gustawa Dore'a. Sądzę, iż miały obrazować ludzi, choć przedstawione były jako istoty bądź baraszkujące, niczym ryby w wodzie, wewnątrz jakiejś ogromnej, morskiej grotty bądź składające cześć jakiejś monolitycznej świątyni, która również zdawała się znajdować w morskiej głębinie. O ich twarzach i kształtach nie odważę się opowiedzieć szczegółowo - samo bowiem wspomnienie sprawia, iż tracę świadomość. Wykraczające poza możliwości wyobraźni Poe'go czy Bulwera, miały one, ogólnie rzecz biorąc, ludzki kształt, pomimo błon rozciągających się między palcami rąk i stóp, szokujące

szerokich i obwisłych warg, szklistych wylupiastych oczu i innych jeszcze mniej przyjemnych szczegółów, o których można by wspomnieć. Co zatrważające, istoty te zdawały się być wyrzeźbione nieproporcjonalnie w stosunku do otaczającego je tła.

Jeden ze stworów uwieczniony został w trakcie zabijania wieloryba, waleń jednak był nieco tylko większy od niego. Moją uwagę szczególnie zwracała ich groteskowość i dziwne rozmiary; dopiero po dłuższej chwili namysłu stwierdziłem, iż musieli to być wyimaginowani bogowie jakiegoś prymitywnego rybackiego, bądź żeglarskiego plemienia, szczepu, którego ostatni potomek dokonał żywota na całe ery przed przyjściem na świat Człowieka z Pilt-down czy Neandertalczyka. Oszołomiony, mogąc w tak nieoczekiwany, bądź co bądź, sposób spojrzeć w przeszłość, wykraczającą poza wyobrażenia najśmielszego antropologa, stałem rozmyślając, a księżyc rzucał dziwne refleksy na roztaczający się przede mną krajobraz.

I nagle To zobaczyłem. Jej pojawienie się oznajmiło jedynie kilka łagodnych kręgów na powierzchni wody, po czym Istota wyłoniła się majestatycznie z mrocznych odmętów. Ogromne, niczym Polifem i odrażające istne monstrum z najgorszego nocnego koszmaru podpłynęło żwawo do Monolitu, objęło go gigantycznymi, pokrytymi łuską ramionami, pochyliło ohydny łeb, po czym wydało kilka miarowych dźwięków.

Wydaje mi się, że właśnie wtedy straciłem zmysły.

Z mej szaleńczej wspinaczki po zboczu i ścianie klifu, a potem delirycznego powrotu do uwięzionej w mule łodzi pamiętam raczej niewiele. Wydaje mi się, że sporo śpiewałem, a gdy już nie mogłem, zanosłem się dziwnym śmiechem. Jak przez mgłę przypominam sobie, że kiedy dotarłem do łodzi, rozpętała się wielka burza. Słyszałem dochodzące odgłosy gromów i inne dźwięki rozlegające się jedynie wówczas, gdy natura ma naprawdę paskudny nastrój. Kiedy wyłoniłem się z mroków niepamięci okazało się, iż znajduję się w szpitalu w Santa Fe; sprowadził mnie tam kapitan amerykańskiego okrętu, który napotkał moją łódkę na środku oceanu. Pograżony w delirium sporo majaczyłem, choć nikt praktycznie nie zwracał uwagi na to, co mówiłem. Moi wybawcy nie wiedzieli nic o wypiętrzaniu wielkiej połaci dna morskiego na Pacyfiku, ja zaś nie uważałem za stosowne, by opowiadać im o Istocie, w którą najprawdopodobniej by nie uwierzyli.

Po wyjściu ze szpitala złożyłem wizytę pewnemu nader znanemu etnologowi i zaskoczyłem go zadając dziwne pytania związane z prastarą filistyńską legendą o Dago-nie - Bogu-Rybie. Kiedy jednak okazało się, iż poglądy jego są beznadziejnie konwencjonalne i że reprezentuje on większość - zaprzestałem moich dociekań.

Teraz zaś, zwłaszcza kiedy na niebie świeci blade sierp księżyca, zdarza mi się widzieć ową upiorną Istotę. Próbowałem morfiny - narkotyk dawał mi jednak tylko krótkotrwałe zapomnienie i uczynił swym bezwolnym niewolnikiem. Zamierzam to wreszcie skończyć, uczynię to teraz, kiedy spisałem wszystko, gwoli wiadomości lub pogardliwego rozbawienia moich rodaków. Często zapytuję sam siebie, czy to wszystko nie było li tylko czystą iluzją, fatamorganą, majakiem wywołanym gorączką, kiedy trawiony porażeniem słonecznym i delirium leżałem na dnie małej łódeczki po mojej ucieczce z pokładu niemieckiego okrętu wojennego. Zadaję sobie raz po raz te pytania, a w odpowiedzi widzę przed oczyma ów upiorny, odrażający kształt. Nie potrafię myśleć o otwartym morzu, nie czując na plecach lodowatych ciarek wywołanych świadomością, że właśnie w tej chwili bezimienne, nienazwane istoty mogą wpełzać i wczołgiwać się na pokryty szlamem podest oddając cześć prastarym, kamiennym bożkom i rzeźbiąc swe ohydne podobizny na podwodnych obeliskach z nadżartego przez wodę granitu.

Śnię o dniu, kiedy mogą wynurzyć się z otchłani spienionych fal, aby zatopić swe cuchnące szpony w niedobitkach zdziesiątkowanej przez wojnę ludzkości - o dniu, kiedy lądy pogrążą się w głębinach a mroczne dno oceanów wzniesie się pośród uniwersalnego pandemonium.

Koniec jest bliski. Słyszę hałas u drzwi, jakby napierało na nie jakieś ogromne, śliskie cielsko. Ale TO mnie nie znajdzie. Boże, TA RĘKA ! Okno ! Okno !

Autor: Howard Philips Lovecraft

[Początek]